

1

Moje pierwsze spotkanie z Michałkiem Opalkiem • Wieś Koszałki i jej mieszkańcy • Rodzice Michałka wyruszają w świat • Wu-Fu i Czin-Czin • Miejsce urodzenia: Sztokholm • Zdmuchnięci z wieży Eiffla • Jak pochowano dwa warkoczyki • Profesor Hokus Pokus wygłasza piękne przemówienie

Nazywał się Michałek Opalek i sypiał w pudełku od zapalek. Właściwie jego pełne nazwisko brzmiało: Opalek z Koszałek. Ale o tym mało kto wiedział. Nie wiedziałbym i ja, gdybym tego nie usłyszał z ust samego Michałka. Było to, jeśli się nie mylę, w Londynie. W hotelu Garland, a ściśle rzecz biorąc, w jego sali śniadaniowej, gdzie pod sufitem huśtają się klatki pełne różnobarwnych kolibrów. Maciupkie to, ale jak wyśpiewuje! Człowiek ledwo słyszy swoje własne michałki.

A może było to w Rzymie? W hotelu Ambassadeur na Via Veneto? Albo w restauracji hotelu Excelsior w Amsterdamie?

Niestety, pamięć niezbyt mi już dopisuje. Trudna rada, muszę sam dopisywać to i owo.

Mam czasem w głowie zupełny galimatias, jak wy — w swoich szufladach z zabawkami.

Jedno, bądź co bądź, nie ulega wątpliwości: Michałkowi rodzice i dziadkowie i pradziadkowie, a nawet praprapradziadkowie wywodzili się, co do jednego, z Tyrolu, z tych jego stron, które są najbardziej tyrolskie. U stóp wysokiej góry przycupnęła tam mała wioska i obie — góra i wioska — nazywają się Koszałki.

Sprawdzam to w moim starym leksykonie. Jest czarno na białym:

KOSZAŁKI. Wieś tyrolska, 412 mieszkańców nadzwyczaj drobnej postury. Najwyższy wzrost: 51 centymetrów. Przyczyny nieznane. Słyną z koszykarstwa (patrz: „Pleść koszałki”, t. IV) i tężyzny fizycznej (patrz: Klub Gimnastyczny „W zdrowym ciałku zdrowy duszek”, założony w r. 1872). Wszyscy mieszkańcy nazywani są od wieków Opałkami z Koszałek. Literatura przedmiotu: „Koszałki i ich Opałki”, wydał własnym sumptem w r. 1908 ksiądz proboszcz Remigiusz Dallmayer. Wyczerpane.

„Dziwna parafia” — powiecie. Nic na to nie poradzę. Mój stary leksykon stoi na półce z bajkami, ale ufam mu prawie zawsze. A teraz pozwólcie, że go z powrotem między bajki włożę. Wróćmy do naszych Opałków.

Rodzice Michałka byli już rok po ślubie, kiedy postanowili wyruszyć w szeroki świat. Choć byli tacy mali, marzyły im się rzeczy wielkie. A ponieważ we wsi Koszałki nie mieściły się żadne szersze plany, małżeństwo spakowało manatki i ruszyło w świat.

Wszędzie, gdzie tylko się znaleźli, budzili niesłychane zdumienie. Ludzie rozdziawiali usta i wytrzeszczali oczy. Michałkowa mama była wprawdzie śliczną kobietką — jak malowanie, a jego papę zdobił zabójczy czarny wąsik, ale oboje mieli wzrost pięcioletnich dzieci. Nie dziw, że się dziwowano.

Jakie były ich plany? Ponieważ celowali w gimnastyce, którą chlubiły się Koszałki, myśleli o karierze akrobatów. I rzeczywiście, kiedy popisali się swoimi wyczynami na drążku i na trapezach przed panem Grzmotnickim, dyrektorem cyrku „Kometą”, ten zaklaskał z entuzjazmem w dłonie obciążone białymi, glansowanymi rękawiczkami i zawołał:

— Brawo, knypsy! Jesteście zaangażowani!

Było to w Kopenhadze. W Tivoli, pewnego przedpołudnia, pod cyrkowym namiotem, rozpiętym na czterech olbrzymich masztach. A Michałka nie było jeszcze wtedy wcale na świecie.

Chociaż jego rodzice przodowali w Koszałkach jako gimnastyki, musieli się jeszcze sporo uczyć i ostro trenować. Dopiero

po trzech miesiącach przydzielono ich do chińskiej trupy akrobatów „Rodzina Bambus”. Nie była to właściwie prawdziwa rodzina, a z prawdziwymi Chińczykami nie miała w ogóle nic wspólnego. W dwunastu kunsztownie zaplecionych warkoczach nie było nawet jednego prawdziwego włosa. Ale mistrzostwu tej trupy nie można było nic zarzucić i zaliczano rodzinę Bambus do najzręczniejszych żonglerów i akrobatów, jakich kiedykolwiek oglądano na arenie.

Żonglowali kruchymi talerzami i filiżankami na cienkich chybotliwych prętach z żółtego bambusa z taką chyżością, że widzom zapierało dech. Pomniejsi wspinali się zwinnie jak łasice po śliskich prętach grubości ramienia, unoszonych w górę przez bardziej atletycznych Chińczyków, a tam stawali na rękach i — orkiestra, tusz! — na głowie. Ba, kręcili nawet, dziesięć metrów nad areną, koziołki! Robili salto w powietrzu, jakby to była dziecinna igraszka, i już stali znowu obiema stopami na rozchybotanych wierzchołkach bambusów i uśmiechali się z wysoka do publiczności. Orkiestra grała trzykrotny tusz, a ludzie klaskali, aż im ręce puchły!

Rodzice Michałka figurowali teraz w programach i na plakatach jako Wu-Fu i Czin-Czin, nosili sztuczne warkocze i pstre kimona z szeleszczącego jedwabiu. Podróżowali z jednego

wielkiego miasta do drugiego z całą cyrkową karawaną, złożoną ze słoni i drapieżników, polykaczy ognia, kłownów i akrobatów, arabskich rumaków, chłopców stajennych, pogromców, baletnic, mechaników, muzykantów i pana dyrektora Grzmotnickiego, odnosili sukcesy, zarabiali mnóstwo pieniędzy i cieszyli się co najmniej dwadzieścia razy na dzień, że mają już za sobą rodzinne Koszałki.

Michałek przyszedł na świat w Sztokholmie. Był tak maciupki, że w ogóle by go nie zauważono, gdyby nie jego donośny pisk. Pan doktor oglądał go długo przez szkło powiększające, uśmiechał się i w końcu powiedział:

— Świetny chłopak! Niech zdrowo rośnie!



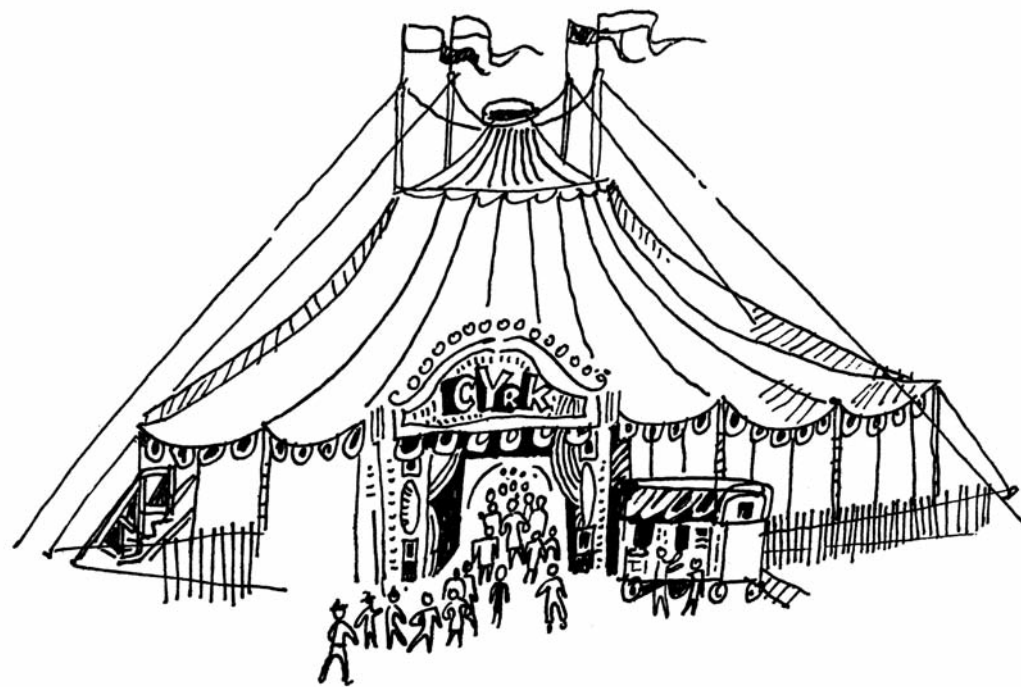
Ale Michałek niewiele urósł... Natomiast kiedy miał sześć lat, stracił rodziców. Stało się to w Paryżu, całkiem nagle i nieoczekiwanie. Państwo Opalkowie pojechali windą na wieżę Eiffla, aby podziwiać piękną panoramę. Ale zaledwie stanęli na najwyższej kondygnacji, zerwał się wicher, który zdmuchnął ich za balustradę i w mgnieniu oka uniósł w dal.

Inni turyści, normalnej postury, zdołali się oprzeć wicherze, trzymając się kurczowo balustrady. Ale mali akrobaci przepadli bez śladu. Zauważono tylko, że trzymali się mocno za ręce. Aż stracono ich z oczu.

Nazajutrz pisano o tym w gazetach:

„Dwoje miniaturowych Chińczyków zdmuchniętych z wieży Eiffla! Bezskuteczne poszukiwania przez helikoptery. Niepowetowana strata dla cyrku”.

Najbardziej niepowetowana była ta strata dla Michałka, który kochał rodziców całą siłą swego maleńkiego serduszka. Niestety, w najmniejszym serduszku może się zmieścić i największy ból! Michałek myślał, że nie starczy mu już łez i serce pęknie mu z bólu, kiedy dwa tygodnie później grzebano na cmentarzu, w szkatułce z kości słoniowej, dwa czarne warkoczyki wyłowione z Atlantyku przez jakiś portugalski statek nie opodal Wysp Kanaryjskich.



Był to osobliwy pogrzeb. Wzięli w nim udział wszyscy cyrkowcy: rodzina Bambus w swoich kimonach, pogromca lwów i tygrysów ze szpicrutą spowitą w krepę, wołyżer Galopiński na karym ogierze Nero, połykacze ognia z płonącymi pochodniami, pan dyrektor Grzmotnicki w cylindrze i czarnych glan-sowanych rękawiczkach, kłowni z żalobnie uszmkowanymi twarzami, a przede wszystkim, jako mówca, słynny mistrz czarnej magii, profesor Hokus Pokus.